

Jacek Krajl

prochowiec i ulicznica

W filiżankach odbijają się twarze proroków, a może to Emmanuelle czeka na angielski deszcz do herbaty, przybiera nowe pozy. Zamiast tego mamy ulewę z Pragi, wszystko się marszczy, wymaga kolejnego prasowania.

Z białego meshku ziemi wyrastają góry, ciała orbitalne rozbijają się o siebie, gdy odwiedzam Emmanuelle. Zaraz za mną toczy się kilka księżyców, płodów pełni. Delikatne tancerki skaczą z kuli na kulę, by wreszcie wylądować z gracją na głowie Emmanuelle, do której próżno już mówić. Filigranowi statyści naszych umysłów.

Jak zwykle jestem za późno, mimo szóstej nad ranem na cały dzień mamy ledwie chwilę naiwnego uśmiechu. Wychodzę prosto w starość. Ścigają mnie taksówki, Nowy Jork, armia niebieskich żołnierzyków bijących w bębny. Kończy się deszcz Pragi. Słucham ptaków, proszą skowytom o ciało moich myśli, wspominam poranek z Emmanuelle, rude włosy zbijające z tropu kawałki czekolady, kawałki młodości.

Rozlewisko

Przy brzegu spotykam brodatego hipisa
Z papugą recytującą fragmenty apokalipsy
W jego pięści zbiera się coraz mocniejsze światło
Więc zaczynam wierzyć że rozmawiam ze zbieraczem słońc
Przygrywając do jego słów na harmonijce z trawy
Kiedy patrzę później na pęknięte lustro jeziora
Nadgniła królowa paproci przegląda naznaczone błotem liście
W ogromnych purchlach zbiera się wolność i dzikość
Nachodzą mnie strzępiaste drzewa i myśli o statku
W nieskończonej wodzie Pacyfiku
Wszystko jest składnią rzeczy
Na których nie spoczywały nigdy moje oczy
Rzeczy nietkniętych moją dłonią
Podczas podróży do smutnych miast